

JANUSZ TAZBIR

Członek rzeczywisty Polskiej Akademii Nauk

## KULTURA W CIĄGŁYM ZAGROŻENIU

Czytając imponujące, również rozmiarami, dzienniki Marii Dąbrowskiej należy stale pamiętać o tym, co stanowi zarazem ich słabość i siłę. Są to bowiem dzienniki naprawdę pisane na bieżąco, w przeciwieństwie do zapisków Leopolda Tyrmanda czy Andrzeja Bobkowskiego. Dlatego znalazło się w nich, obok wielu słusznych konstatacji, nieco sądów zbyt pośpiesznie sformułowanych, plotek zasłyszanych na mieście czy wręcz niesprawiedliwych pomówień, graniczących z insynuacjami. Rzeczy ważne dla oceny różnych zjawisk przepłatają się z realiami dnia codziennego. Gdyby wykreślić narzekania na Tulę Kowalską, która niewątpliwie stanowiła klasyczny okaz *l'enfant terrible*, usunąć opisy chorób, wyjazdów i przejazdów, a przede wszystkim oceny jakości spożywanych posiłków, dzienniki byłyby nieco chudsze. Ale przecież dobra kuchnia wchodziła w jakiś sposób do kultury, a Dąbrowska była smakoszką, która w chudych latach Polski Ludowej z nostalgią wspominała posiłki spożywane nie tylko w II Rzeczypospolitej, ale i przed wybuchem pierwszej wojny światowej.

Lekturze dzienników towarzyszy wrażenie, iż czytamy przesunięty w czasie dalszy ciąg rozważań Agnieszki Niechcic. Tyle jest w nich ciągłego niepokoju o dalsze losy kultury europejskiej, w tym również polskiej. Bo oto nastąpił rozwój lotnictwa, a więc zrealizowała się utopia Ikara, ale niesie ono zniszczenie. „Realizuje się utopia Morusa — i nikt nie jest szczęśliwy [...]”. W konsekwencji mogą się urzeczywistnić także czarne prorocтва o końcu i zagładzie świata (15 VIII 1954). Pięć lat później Dąbrowska zapisuje, iż Zachód przeżywa to samo co Wschód (zwłaszcza Rosja) na przełomie XIX i XX stulecia: pesymizm w różnych jego odmianach. Polska, będąca nadal pawiem i papugą narodów, „myśli, że to coś nowego i na gwałt przywdziewa tę «modną» literacką sukienkę” (15 IX 1959). Na szczęście dziesięć lat wcześniej Dąbrowska formułuje sąd wręcz przeciwstawny — pisze, iż „teoria o gniciu i upadku kultury zachodniej, a wyższości nad nią kultury wschodniej rosyjskiej jest świetnym

---

Adres do korespondencji: 00-034 Warszawa, ul. Warecka 11 m. 21.

przykładem przeszczepienia na drzewo komunistyczne starej tradycji Rosji carskiej” (30 XI 1948).

Od roku mniej więcej 1948 opanowuje ją, chwilami niemalże obsesyjna, wizja rusyfikacji polskiej kultury, przeprowadzanej „forsownie i z chytrą diabelską” (5 XI 1948). Nawet Wiech zostaje oskarżony o to, że zaplugawia język polski rosyjskimi zwrotami, w „Przekroju” obrzydza nasze dzieje „w niby to humorystycznych opowiadaniach obliczonych na przypodobanie się moskiewskiemu władcy. Może w innych warunkach byłoby to dowcipne, dziś jest moralnie skandaliczne. Coraz wyraźniej widać, że idzie o to, żeby splugawić Polakom wszystko, co polskie” — czytamy w dziennikach (6 XI 1948). Oburzenie na *Helenę w stroju niedbałym czyli królewskie opowieści pana Piecyka* brzmi dziś dla nas nieco zabawnie, zgadza się wszakże z tradycjami polskiego myślenia historycznego, które w warunkach zaborów wykluczało ludyczny stosunek do przeszłości, tak często występujący na Zachodzie Europy (między innymi we Francji).

Obawy przed rusyfikacją, kastrowane przez samą autorkę w tekstach przekazywanych do druku, a następnie w cenzurowanych wydaniach jej dziennika, mogłyby się śmiało znaleźć w pisanych pod zaborem rosyjskim dziennikach Stefana Żeromskiego: „Musimy sobie jasno i trzeźwo powiedzieć, że jesteśmy w niewoli rosyjskiej, tym niebezpieczniejszej niż carska, że mającej w Polsce [...] swoich bezinteresownych ideologów. Także i dlatego, że ludzie carskiej Rosji czuli swoją niedawność kulturalną i mocarstwową i traktowali kulturę polską jako wyższą, nie narzucali jej też rosyjskich wzorów, raczej sami podpadali pod jej wpływ” (30 XI 1948). Rosja, niezależnie od jej barwy, „służy jedynie interesom własnej zaborczości i na niewolnictwie milionów opartej potęgi” (29 VI 1950). Nawet w terminologii wracamy do czasów carskich, kiedy słowa „Polska”, „Polacy”, „ojczyzna” zastępowano, na skutek wymogów cenzury, pojęciami „ten kraj” czy „mieszkańcy tego kraju” (12 I 1951). Literatura rosyjska pełna jest nienawiści do Polaków, a nawet Czechów nie mógł się powstrzymać od kąśliwego obrazu ich i Warszawy w opowiadaniu „Sala nr 6” (4 VI 1951). Znikąd nie widać ratunku, ponieważ „ten niezwykle i bardzo utalentowany naród nigdy nie zazna wolności” (22 I 1951). Dąbrowska posuwa się nawet do apokaliptycznego proroctwa: „Od Niemców groziła Polsce zagłada biologiczna, od Moskali — stokroć straszniejsza — duchowa i moralna [...]. Zresztą myślę, że przyjdzie i zagłada biologiczna — nadchodzą czasy w które zginie nowych sześć milionów Polaków” (6 XI 1948).

W suwerennej Rzeczypospolitej łatwo jest polemizować z tymi sądami, skoro już wiemy, iż młodzież wychowana w szkołach Polski Ludowej na ogół nie zna nawet alfabetu rosyjskiego, bo nic tak nie rozkwita jak fałszywy patriotyzm, podlany autentycznym leninizmem. A liczba Polaków wzrosła do niemalże 40 milionów. I że właśnie w latach 1956–1989 Polska była dla rosyjskiej elity intelektualnej oknem na świat. Opinie Dąbrowskiej są cennym świadectwem rozpaczki, w jakiej pogrążyła się nasza elita w dobie stalinizmu. Pesymizm pisarki mógł się brać z własnych doświadczeń, bo przecież pod koniec rosyjskiej

okupacji w 1915 r. miała 26 lat. Uczęszczała na polską pensję, ale wiedziała o akcji rusyfikacyjnej, tak intensywnie prowadzonej w ostatniej ćwierci XIX stulecia i w początkach następnego wieku.

Trudno się jednak oprzeć wrażeniu, iż pozostawała pod urokiem *Syzyfowych prac* — stąd oburzenie i przestraszanie związane ze śpiewaniem w szkołach PRL rosyjskich piosenek. Nigdy również nie miała zbyt wysokiego mniemania o dojrzałości politycznej społeczeństwa oraz jego odporności na szerzoną ogólnie propagandę. Jakże swojsko i znajomo brzmią zanotowane w 1916 r. relacje z Warszawy, poświęcone spiskowej teorii dziejów. Podobno tam wszyscy wszystkim zarzucają, iż są przekupieni. „Ten przez Niemców, ów przez Austriaków, inny przez Żydów, masonów itp. [...] I tak tą fikcją przekupienia wszyscy się w sobie żrą” — pisze Dąbrowska (4 XII 1916).

Pesymizm pisarki wynika także z jej stałych obaw o utratę godności. Choć Polak wiecznie się o nią boi, to równocześnie „wiecznie ją traci. Nie weźmie się do roboty, niezgodnej z jego fachem, ale i tego fachu sam dobrze nie umie” (21 IV 1917). Dodam od siebie, że w Polsce zarówno przed rozbiorami, jak i później nigdy nie było kultu fachowca. Zastępował go w zupełności kult rycerza, potem konspiratora, zesłańca („sybiraka”) i powstańca. Jakby łągodząc poprzednie opinie, nieco później Dąbrowska stwierdza: „Z tym wszystkim Polacy są bardzo poczciwi, mają psychikę dziecka. Do samego końca nie mogą uwierzyć, żeby kto był taki niepoczciwy, żeby ich mógł skrzywdzić” (4 II 1918).

Odzyskanie niepodległości nie sprawi, aby te opinie mogły „wybić się na optymizm”, skoro w 1921 r. autorka dziennika określa swój naród jako „żywy temat do satyry [...] tragikomiczny, groteskowy i patetyczny, naród bez prostoty” (21 VII 1921). Nadal narzeka na polską młodzież: w sytuacji, kiedy ideałem winno być robienie wszystkiego lepiej, idzie jej o to, żeby coś mieć, „niż żeby czymś być, coś stworzyć” (7 II 1926). Nawet porównanie z Hiszpanią, tak lubiane w Polsce co najmniej od czasów Lelewela, u Dąbrowskiej wypada na naszą niekorzyść. Hiszpania miała bowiem wielkie pasje, my żadnej wielkiej namiętności, poza „dziarliwością” (2 II 1928). „Polska wszystko robi połowicznie, we wszystkim boi się dna” (20 VI 1929).

Wypada zauważyć, iż Maria Dąbrowska nigdzie nie używa pojęcia charakteru narodowego, ale o nim przecież pisze, określając, w ślad za Leonem Petrażyckim, nasz naród jako „wybitnie skłonny do stosowania etyki bohaterskiej wymagającej ofiar z życia i mienia w nadzwyczajnych, patetycznych okolicznościach”, niezdolny natomiast do stosowania etyki roszczeń i zobowiązań, prowadzącej „do szczęśliwego, bo uczciwego życia na co dzień” (28 XI 1954). Z uwag autorki dzienników wynika wszakże, iż uznaje ona istnienie owego charakteru, objawiającego się w chwilach przełomowych, których przecież tak często bywała świadkiem, kronikarzem i — komentatorem.

W przypiływie chwilowego zniechęcenia Dąbrowska potrafi napisać, że ów charakter nie jest zdolny do długiego opierania się postępom owej forsownej

rusyfikacji. „Jestem zrozpaczona, że tylu Polaków okazało się podatnymi do nikczemności” (6 XI 1948).

Dąbrowska nie dostrzega sojusznika w Kościele jako instytucji. Trudno się temu dziwić, skoro już przed wrześniem 1939 r. tak często dawała wyraz swojemu antyklerykalizmowi. Wymawia Kościołowi pomyłki w polityce kanonizacyjnej, zbyt często podporządkowywanej interesom politycznym różnych państw (31 I 1947). W doktrynie Watykanu upatruje wiele podobieństw z marksizmem, a inkwizycję i nietolerancję porównuje wręcz ze stalinizmem (27 V 1958). Ksiądz wzywający do aktywności religijnej nie różni się w jej oczach od komunisty, który nawołuje do „aktywności partyjnej” (27 XII 1960). Gorszą ją „panie z towarzystwa”, pełniące przy prymasie Wyszyńskim rolę donosicielek (1 VI 1961). Jednocześnie z dużym uznaniem wypowiada się o reformatorskich poczynaniach Jana XXIII. W dziennikach znajdujemy także ciepłe słowa pod adresem Karola Wojtyły, przyszłego kardynała i papieża.

Ponadto Biblia jest dla Marii Dąbrowskiej „największym dziełem literatury świata w sensie literatury wieszczej”, jak również źródłem „najbardziej realistycznej i najgłębiej prawdziwej wiedzy o życiu”. Jest to „literatura bez kłamstwa i z największą siłą magii słowa. Z niej tylko wywodzić się może roszczenie czy legitymacja literatów do roli duchowych przywódców świata. Bez niej i poza nią literatura jest jedynie zabawą i błazeństwem w najszerszym, a więc też i poetyckim znaczeniu tego słowa” (17 VI 1947).

Mocne słowa, pod którymi mógłby się podpisać każdy chrześcijanin, uznający autorytet Pisma świętego, ale już niekoniecznie powagę papieża. Z katolicyzmu za szczytowe osiągnięcie Dąbrowska uważa jedynie chyba liturgię, która zwraca naszą uwagę ku sprawom ostatecznym, „a to odpowiada bardzo istotnym potrzebom najprostszego nawet człowieka”. Przeciwstawia jej liturgię komunistyczną, bo „sztuka całkowicie świecka” nie jest już sztuką (3 IX 1959). Jak wiemy, Dąbrowska zażądała w testamencie, aby ją pochowano w obrządku katolickim — jako najpiękniejszym z istniejących form pogrzebowych. Choć w Polsce międzywojennej dwa przedstawienia Juliusza Osterwy, mianowicie *Pastorałki* w stylu szopki oraz *Wielkanoc*, wzorowana na średniowiecznym misterium, były chyba najsilniejszymi w jej życiu wzruszeniami teatralnymi (uzupełnienia dzienników lat 1917–1935, s. 33), to jednak u źródła zachwytu legła doskonałość ujęcia teatralnego, a nie religijna inspiracja tych utworów. To samo da się powiedzieć o stosunku Marii Dąbrowskiej do granych przez Wojciecha Siemiona, a inscenizowanych przez Kazimierza Dejmka, przedstawień opartych na wątkach religijnych, takich jak *Żywot Józefa Mikołaja Reja* czy *Historycja o chwalebny m martwychwstaniu pańskim* Mikołaja z Wilkowiecka.

Skoro jednak, zdaniem autorki dzienników, jedyna nie kontrolowana przez komunistów instytucja, jaką stanowił Kościół, nie może stanowić bariery przeciwko rusyfikacji, owego przedmurza kultury polskiej należałoby szukać gdzie indziej. Oczywiście nie w masonerii, choć autorka dzienników wyznaje, że przez wiele lat była najpierw kochanką, a później pielęgniarką jej Wielkiego

Mistrza. Sama jednak nigdy do tego stowarzyszenia nie należała. Co więcej patrzyła na nie — jak pisze — „jedynie z pobłażliwą życzliwością, jak na zacną intelektualno-etyczną zabawę pięknych, dobrych nieskazitelnych — i przez to właśnie w Polsce trochę osamotnionych ludzi” (11 IX 1962).

Wbrew dziewiętnastowiecznej tradycji Dąbrowska sądzi, iż roli przedmurza czy bariery nie mogą też odegrać emigracyjne publikacje. Wyraża się krytycznie o tych pisarzach, którzy nie wrócili do Polski. 20 listopada 1948 r. zapisuje w dziennikach najostrzej chyba sformułowany akt oskarżenia pod adresem „naszej obecnej nieprzejdanej emigracji”, której postawa gorszy i oburza Marię Dąbrowską. Wyrazem tego jest cała seria iście prokuratorskich pytań: „Na co oni tam siedzą i co zrobili dla Polski na forum międzynarodowym? Czy wydali wielkie dzieła literatury, odkrywcze dzieła nauki, którymi wstawiliby na zachodzie imię Polski? Czy zrobili cośkolwiek, aby w wielkim cyklu przekładów udostępnić zagranicy najlepsze pozycje literatury polskiej od *Trenów* [...] aż do literatury 20-lecia? Czy w ogóle zrobili cośkolwiek przez dziesięć już blisko lat dla propagandy wartości polskich w świecie? Pokazać popis wyścigu śmierci w bitwie o Londyn czy pod Monte Casino — to grubo za mało. Nie śmiercią wkupują się narody w skarbiec światowych wartości [...]. Nic, nic i nic. Jest to rzeczywiście najzupełniej pusta intelektualnie i moralnie ze wszystkich naszych emigracji” (20 XI 1948).

Gdyby Dąbrowska opublikowała wówczas tę opinię, kręgom emigracyjnym łatwo byłoby odeprzeć zawarte w niej zarzuty. Mogłyby bowiem powołać się, po pierwsze, na fakt, iż sześć lat minionej dekady zajął wysiłek zbrojny, z natury rzeczy nie sprzyjający pomnażaniu dóbr kultury. Po drugie, raz tylko w naszych dziejach wiekopomne wydarzenie przyniosło tak szybko arcydzieła ukazujące jego genezę, przebieg i konsekwencje. Mam tu na myśli oczywiście wielką literaturę romantyczną, poświęconą powstaniu listopadowemu. Pół wieku później, a więc u schyłku ubiegłego stulecia, trudno byłoby nie przyznać autorce *Nocy i dni* choć częściowej racji. Na wychodźstwie, które powstało z winy umów ternańsko-jałtańskich, pozbawiających Polskę suwerenności, bardzo wiele zrobiono dla odkłamania jej najnowszych dziejów. Jednak poświęcony przeszłości dorobek naukowy polskiej diaspory był daleko mniejszy aniżeli na przykład emigracji ukraińskiej czy nawet litewskiej. Być może uważano, iż wcześniejszymi epokami wystarczająco zajmują się historycy krajowi. O ile zarówno Ukraińcy, jak i Litwini potrafili wydać na emigracji wielotomowe encyklopedie w języku rodzimym i angielskim, o tyle polska diaspora zdobyła się zaledwie na jednotomową podręczną encyklopedię powszechną (1954) Stanisława Lama, który prowadził także księgarnię w Paryżu.

Tak bardzo krytycznych sądów o kulturalnych zasługach emigracji Dąbrowska nie złagodziła również w późniejszych latach. Broni jej wprawdzie przed zarzutami Cyrankiewicza, jakoby emigracja pomiatała i gardziła „całym dorobkiem kulturalnym ojczyzny, którą sprzedaje za dolary” (7 VI 1953), jednak trzy lata później powstającą na wychodźstwie twórczość literacką określi mianem

mdłej, staroświeckiej, zaściankowej, a nawet zakłamanej. Widzi w niej bowiem podobną do reżimowej skłonność do dyskryminacji, dogmatyczną pewność siebie, przekonanie o nieomyślności, „skłonność do upolityczniania wszystkiego” (21 VI 1956). Jest to reakcja na krytyczną ocenę takich jej utworów, jak *Na wsi wesele* czy *Nocne spotkanie*, „choć może i prawdziwe, ale nie należało pokazywać takich żołnierzy radzieckich, skoro nie można było pokazać odwrotnej strony medalu” (21 VI 1956). W odpowiedzi Maria Dąbrowska stwierdza, że jeśli wyjdzie się z takich założeń, to należałoby potępić Mickiewicza za przedstawioną w eposie narodowej postać majora Rykowa, a Słowackiego za Majora w *Fantazym*. Oba utwory powstały w czasach niewoli rosyjskiej i to na emigracji (21 VI 1956).

Z wyraźnym odczuciem moralnej i intelektualnej satysfakcji stwierdza, iż po odbyciu mnóstwa spotkań z emigrantami (w lecie roku 1956) nie potrzebowała korygować swoich sądów na ich temat, które znalazły się w dziennikach. Okazały się one tak dalece trafne, jakby się w ogóle z tymi ludźmi nie rozstawała, „albo też tak się rozstała, że widzenie z nimi nie miało już więcej znaczenia niż zobaczenie kogoś widywanego codzień” (1 VIII 1956). „Wyszczucie” z kraju Marka Hłaski w 1958 r. nazywa wręcz wynikiem „nowej zgody świętoszków”. Bo oto Jerzy Giedroyc z „Trybuną Ludu”, a Artur Sandauer i Zofia Kossak-Szczucka z Putramentem sprzymierzyli się, aby pozbawić kraj wielkiego pisarza (14 IV 1958). Tymczasem należało go ocalić dla Polski, bo świat interesuje się właśnie w niej powstającą literaturą. „I ta właśnie literatura wyrasta od razu ponad wszystkie pisaniny emigracyjne” (14 IV 1958) [podkr. — J.T.]. Niewątpliwie i w tym przypadku Dąbrowska myślała przede wszystkim o własnej twórczości, niedocenianej lub wręcz krytycznie przyjmowanej przez emigrację osiadłą na paryskim, londyńskim lub zachodnioniemieckim bruku.

Oburza ją niesłuchanie moralizatorstwo tych przedstawicieli emigracji, którzy — jak Konstanty Jeleński — zalecają autorce dzienników zwalczanie „alergii na Rosję”, tak silnie występującą w ówczesnej kulturze polskiej. Dlaczego to sami nie przyjadą do kraju, aby się tym właśnie osobiście zająć? Niektórzy emigranci postępują tak jak państwa Zachodu, które zrobiły „Jałtę i Teheran, i doradzały Polsce pogodzenie się z panowaniem Rosji — Aby potem wyszydzić ją i potępić za każdy przejaw przystosowania się do narzuconych okoliczności” (19 IV 1960). To właśnie oni rzucają przy każdej okazji gromy na cenzurę komunistyczną, sami przystając (jak uczynił między innymi Józef Czapski w *Na nieludzkiej ziemi*) na żądania wydawcy, aby nie było za dużo o sprawach polskich, „które nikogo nie obchodzą — I żeby nie było zanadto antysowieckie. — Wszystko to odczuwam jako wielkie upokorzenie, które dziw, że znoszą ludzie, co tyle wydziwiają na naszą cenzurę — U nas w każdym razie nikt nie żąda aby nie pisać o sprawach polskich lub nie używać polskiego nazwiska” (24 IV 1960).

Nic więc dziwnego, iż autorka dzienników była oburzona audycją Kazimierza Wierzyńskiego, której wysłuchała 2 stycznia 1960 r. w londyńskim radiu. Kończyła się ona słowami: „Dąbrowska jest nam dana jak talizman na szczę-

ście”. Wierzyński miał swą pochwałę zamknąć przeciwstawianiem jej „wielu pisarzom, którzy swoim postępowaniem i serwilizmem wywołują oburzenie tak w kraju jak za granicą” (4 I 1960). Dąbrowska nazwała audycję stekiem uproszczeń i nieporozumień. „Nie cierpię panegiryków, nawet gdy dyktowane są najszczerzszymi uczuciami [...] A prócz tego — nigdy nie starałam się przypodobać emigracji, ani dbam o jej względy. Najchętniej mówiłabym tzw. «gorzkie prawdy» nie tylko naszemu rządowi, ale i naszemu społeczeństwu i emigracji. — Nie mogę ich mówić rządowi, milczę też wobec społeczeństwa i emigracji. To cała tajemnica mojego rzekomego talizmanu” (4 I 1960). Jednocześnie przyjaźniła się z tymże Wierzyńskim, wyrażała uznanie również dla dorobku pisarskiego Witolda Gombrowicza, dzieliła się z Giedroyciem opiniami na temat sytuacji w kraju. Jak widać, globalna krytyka emigracji nie przeszkadzała w docenianiu osiągnięć niektórych intelektualistów, którzy zachowali postawę pełną obiektywizmu.

Z dzienników Marii Dąbrowskiej wynika, iż przyczyny rozdzwiewu, jaki dzielił ją od niemal całej emigracji, leżały o wiele głębiej. I ona, i Anna Kowalska uważały, iż polski intelektualista tylko wtedy pełni należycie swą służbę dla narodu, jeśli pozostaje w kraju. Tym większe znaczenie miała krajowa działalność pisarska: literacka i publicystyczna, jak również społeczna Marii Dąbrowskiej.

Jeśli w dziennikach znajdujemy zestawienie własnego dorobku z dorobkiem innych pisarzy, to wypada ono zazwyczaj niekorzystnie dla nich. Już w 1916 r. wśród uwag o książkach Juliusza Kadena Bandrowskiego czytamy, iż choć był „piewcą Pierwszej Brygady”, to jednak zarówno tych dzieł, jak i ich autora legionieści „czemuś nie lubili” (uzupełnienia do roku 1916, Warszawa, luty, s. 22). W tymże roku Jerzy Kuncewicz, późniejszy mąż Marii, nie zapowiada się w oczach Dąbrowskiej na tego, kim został później: „zażywnym, bogatym i przedsiębiorczym groszorem” (uzupełnienia do roku 1916, luty, s. 6). Choć Żeromski na ogół został pozytywnie oceniony, to jednak od całości jego dorobku coś autorkę *Nocy i dni* wyraźnie odpycha: „Coś mi mówi o zupełnie innym wyrazie cierpienia” (13 IV 1926). Film *Młody las* z tekstem Hertza („idiotyczna bzdura”) mimo świetnej gry aktorów jest czymś wręcz okropnym: „Kiedyż my jednak wyjdziemy z bomb patriotycznych w ogólnoludzkie tematy” (20 II 1935). W opartym na powieści Zofii Nałkowskiej filmie *Granica* stuszowano oportunistycznie wszelkie drażliwe polityczne treści (2 XI 1938). *Fryderyk* Adolfa Nowaczyńskiego to „sztuka naogół nudna, naiwna” (9 I 1936). Ksawery Pruszyński, który napisał „nikczemny i pełen kłamstw artykuł o Wołyniu”, „to jednak szubrawiec, który dzięki wkupywaniu się w opinię demokratyczną różniami (dobrze opłacanymi) reportażami z Hiszpanii [...] może dobrze «kadź narodową» mącić” (30 I 1938).

Ta zoilowska ocena wiąże się ściśle z negatywną opinią na temat kulturalnej i personalnej polityki sanacji. Dziennik jest wręcz naszpikowany złośliwościami pod adresem Polskiej Akademii Literatury, członków, obrad i samej instytucji. *Strzępy meldunków* Sławoja Składkowskiego zostały nazwane „koszmarną

książką”. Zdaniem Dąbrowskiej, gdyby ktoś chciał celowo rozwiać legendę Piłsudskiego i „obnażyć nicość duchową jego sztabu nie mógłby nic bardziej błazeńskiego wymyślić” (28 III 1936). Autorkę dzienników oburza skasowanie katedry historii kultury na Uniwersytecie Jagiellońskim, pomyślane jako represja polityczna wobec jej kierownika Stanisława Kota, „ze względu na nienawiść Piłsudczyków do niego. Z głupich chamskich względów stała się krzywda polskiej nauce i cywilizacji” (25 IX 1933). Na początku 1936 r. Dąbrowska notuje, że nawet szopki polityczne nie umywają się do arcydzieł tworzonych ongiś przez Lechonia, Tuwima i Słonimskiego. „Nic do nikąd nie porywa. Tylko ambicje lub niskie namiętności rządzą światem. Nuda z nudy w nudzie się śmieje” (2 III 1936). Trudno przy tym orzec, ile w opiniach formułowanych po roku 1926 jest samej Dąbrowskiej, ile zaś stanowiło dość wierne echo sądów Stanisława Stempowskiego.

Niezależnie zresztą od tego, w jakim czasie dzienniki były pisane, najwięcej dostaje się krytykom literackim, którzy nie potrafią dostrzec wielkości artystycznej utworów Marii Dąbrowskiej i stale dopatrują się w nich obcych wpływów (8 XII 1958). Choć wynalazła dwie rzeczy dobre: używanie potocznego języka i żywość sympatycznych postaci, to języka, poza jednym Przybosiem, nikt nie zauważył, a żywość i komunikatywność ludzi dobrych spostrzegł już przed Dąbrowską Dickens. „Więc nic nie wynalazłam — notuje z goryczą — i zejść jak «na bezrybiu i rak ryba» — jak pisarz, co miał jakiś czas powodzenie, bo był nieco lepszy od ogólnej słabości polskiej literatury” (8 XII 1958).

Pierwsze liczące się opowiadanie Dąbrowskiej *Janek*, napisane w 1914 r., nie może być uważane za literackie dziedzictwo XIX stulecia, gdyż stanowiło protest na styl Młodej Polski, którą autorka dzienników raczej mało ceni. Jej zestawianie z Galsworthym „jest zabawnym nieporozumieniem” (31 III 1958), pisarz to bowiem tak nudny, że Dąbrowska nie przebrnęła poza pierwszy tom *Sagi Forsyte’ów*. Jej rodowód artystyczny i w ogóle cała wizja świata wywodzi się z rodzimych korzeni, a więc „z ziemi kaliskiej, z mowy i zachowania tamtejszych ludzi” (31 III 1958).

Dostało się zwłaszcza Zdzisławowi Liberze za niefortunny zestawioną antologię jej utworów. Są to wyłącznie publicystyczne teksty, pod którymi dziś by się nie podpisała, najwyżej pod niektórymi zdaniami. Wywiązał się z tego dialog, zacytowany w dziennikach: „pan mnie zanadto upoczcwił, robi pan ze mnie moralizującą starą ciotkę — niech pan mnie trochę odpoczcwi — Cóż, demonizować trudno — odpowiedział — i to było najinteligentniejsze, co usłyszałam od tego profesora” (9 XI 1962)<sup>1</sup>.

<sup>1</sup> Ofiary zoilowego pióra autorki *Przygód człowieka myślącego* nie zawsze zapoznawały się z tekstem jej recenzji. Jedną z nich poświęciła w 1912 r. zbiorowemu tomowi, który ukazał się pod tytułem *Bez przyłbicy*. Był on dziełem absolwentów prywatnych szkół polskich w Warszawie, a wśród nich takich późniejszych tuzów jak Ignacy Matuszewski, Melchior Wańkowicz czy Julian Ejsmond. W swojej recenzji, ogłoszonej na łamach „Tygodnika Polskiego”, Dąbrowska zarzuciła autorom książki, że zamiast „szczerej twarzy młodzieńczej” ukazują maskę cierpiętника i snoba „usiłują-



Wracając do głównego wątku moich rozważań, jakim jest pełnienie odpowiedzialnej misji narodowej właśnie (i tylko!) w kraju, przytoczę zanotowaną z niewątpliwą aprobatą rozmowę przyjaciółki Dąbrowskiej z Melchiorom Wańkowiczem. Pan Melchior, prosząc Kowalską o jakieś wstawiennictwo, powołał się na swój długoletni pobyt zagranicą („Coś się przecież należy pisarzowi, który po 20 latach wrócił z emigracji do kraju”). Anna odpaliła — pisze Dąbrowska — „Należy się akurat tyle samo, co pisarzom, którzy przez 20 lat byli w kraju” (1 III 1959). Warto przypomnieć, że już w Polsce międzywojennej Dąbrowska bardzo niechętnie odnosiła się do osoby Wańkowicza — „tego spryciarza i aferzysty” (11 I 1933), jego artykuł zawierający polemikę ze Słonimskim porównała do „kwiku i chrumkania dzikiego wieprza” (11 I 1933).

Owa wyżej wspomniana misja miała polegać na walce z wszelkimi przejawami rusyfikacji. Ale nie tylko na tym — pod datą 31 grudnia 1948 r. Dąbrowska zapisuje w swoich dziennikach: „Właściwie naszą ojczyzną jest pewna forma życia i obyczajowości, która nam odpowiada. Gdy ta ginie — nic nie może nas pocieszyć. Gdy żyje — sprawy granic czy niepodległości — nawet niepomysłnie ułożone — dają się znieść bez utraty nadziei” [podkr. J. T.]. Otóż ta forma, ten kształt obyczajowości, osobowości narodu jest obecnie gwałcony i poniewierany. I to jest najgorsze do zniesienia. To obrzydza nawet zbawcze reformy”. Już zresztą w *Nocach i dniach* czytamy, iż obyczaj jest piątym żywiołem świata<sup>2</sup>.

Lwia część dzienników została poświęcona kwestii walki o zachowanie polskości. Pod tym względem Dąbrowska w pełni zgadzała się z poglądami dobrze jej znanego Stanisława Kota, który w dziejach wychowania pisał, iż w dobie zaborów „cała energia społeczeństwa na polu szkolnym zwracała się ku ochronie młodzieży przed wynaradawianiem, a tam, gdzie istniała polska szkoła, ku nadaniu jej jak najsilniej narodowego charakteru”<sup>3</sup>. Stąd tak częste wyrazy oburzenia w dziennikach pod adresem doboru lektur szkolnych, uwzględniających przede wszystkim pisarzy „sowieckich”. Z tych samych źródeł wynikało jej nie tylko intelektualne, ale i emocjonalne zaangażowanie we właściwą podstawę źródłową *Słownika języka polskiego*, którego zeszyt próbny z 1951 r. został oparty na korzystaniu głównie (jeśli nie wyłącznie) z tekstów urzędowych, „przy znikomym procencie źródeł literackich, a nawet usunięciu w ogóle poezji” (3 XI 1951). W ten sposób *Słownik* zostałby, jej zdaniem, „nafaszerowany szpetną polszczyzną cytat z prasy” (3 XI 1951). Tak się jednak nie stało, a jakąś część zasługi należy przypisać właśnie Marii Dąbrowskiej.

---

cego sarkazmem wykreślić się zyciu”. Mój stryj, Stanisław Tazbir, będący jednym ze współautorów tego tomu, dopiero na krótko przed śmiercią (1976) dowiedział się o istnieniu recenzji, przedrukowanej w *Pismach rozproszonych* Marii Dąbrowskiej (t. 1, Warszawa 1964).

<sup>2</sup> M. Dąbrowska, *Noce i dni*, Czytelnik, Warszawa 1963, t. 2, s. 46.

<sup>3</sup> S. Kot, *Historia wychowania. Zarys podręcznikowy*, Lwów 1934, t. 2, s. 360.

W trakcie wydawania począwszy od 1958 r. kolejnych tomów *Słownika języka polskiego*, pod redakcją Witolda Doroszewskiego, w obronie przed naciśkiem ówczesnej „nowomowy” często się odwoływano do autorytetu i dzieł autorki dziennika, obficie uwzględnionych w kanonie, na którym został oparty. Jako stały konsultant historyczny tego iście epokowego przedsięwzięcia mogę stwierdzić, iż były to odwołania nader skuteczne. Mimowolnie w sukurs przyszedł jej... Józef Stalin, wyłączając w swej słynnej broszurze z 1951 r. język ze sfery nadbudowy.

Inną formą obrony wolnego słowa, a w latach Polski Ludowej tym samym i polskości, była walka z cenzurą oraz samo kwestionowanie jej istnienia. Problemy te stale przewijają się w dziennikach. Choć Dąbrowska parokrotnie szła na nieuniknione, jej zdaniem, kompromisy z cenzurą, to jednak pod koniec życia podpisała się na słynnym „Liście 34” do premiera Józefa Cyrankiewicza — pierwszej tego rodzaju w PRL manifestacji w obronie wolności słowa.

30 września 1952 r. Dąbrowska oburza się niesłuchanie na wystąpienie Marii Rzeuskiej, odmawiającej pisarzom tej właśnie wolności. „Wedle niej pisarzowi wolno pisać tylko to, czego chce większość społeczeństwa. Zapomina, że pisarze przeważnie osiągnęli wielkość przeciwstawiając się społeczeństwu. W gruncie rzeczy ta gromy rzucająca osoba żąda ode mnie tego właśnie, co rząd; gdyby miała w ręku władzę egzekucyjną, to z takim samym okrucieństwem jak wszelka władza skazałaby mnie na milczenie, a niechbym spróbowała protestować — na wieczne milczenie” (30 IX 1952). 9 kwietnia 1964 r. Dąbrowska z jeszcze większym oburzeniem pisała o broniących instytucji cenzury artykułach Jana Szeląga i Janusza Wilhelmięgo, zamieszczonych w kolejnych numerach warszawskiej „Kultury”. Autorka dzienników określiła oba te teksty mianem chyba najnikczemniejszych artykułów, jakie w ostatnich latach czytała w polskiej publicystyce. Pierwszy z nich „nie tylko apoteozuje cenzurę, ale dowodzi, że jest ona istotą i esencją życia — właściwie nie ma zjawisk nie ocenianych. Drugi — że właściwie nic nie jest wolnością, ponieważ każda wolność jest ograniczona na wiele sposobów”. Ich autorzy „zasługują jedynie na to, żeby plunąć im w twarz — a raczej w ich służalcze pyski” (9 IV 1964). Podobnie ostrych sformułowań trudno by chyba szukać w całych dziennikach. A wystąpienia w obronie cenzury, czyli za kontrolą słowa i myśli, zasługują na przypomnienie w postaci jakiejś miniantologii.

W równie ostry sposób Dąbrowska zareagowała (22 XI 1960) na skreślenie jej szkicu o cenzurze w *Potopie* z tomu odczytów poświęconych Sienkiewiczowi w dobie kolejnej „odwilży”. Uznała to za sfałszowanie historii i „kretyńskie łajdactwo”, działające na szkodę „polskiej literatury, polskiej nauki o literaturze i Polski wogóle”. Bo przecież w artykule „nie było żadnych aluzji do dzisiejszej cenzury”. Dąbrowska nie zauważyła notabene, iż tekst tego eseju ukazał się w 1956 r. na łamach „Życia Literackiego”. Po cenzuralnym okrojeniu w 1963 r. *Żab* Arystofanesa notuje: „Pomyśleć autor sprzed ponad 2500 lat jest dziś w tym śmierzącym wychodku niecenzuralny?”. I dalej: „Nie wiem co tu więcej po-

dziwiać? Bezgraniczną tępą głupotę? — Czy bezgraniczną słabość i śmierdzące tchórzostwo?” (5 VI 1963). Notabene ów „śmierdzący wychodek”, tak często cytowany w pismach opozycji, został wzięty z pism Józefa Piłsudskiego.

Oczywiście sporą część winy autorka dzienników składa na Moskwę. Kreml nie jest w stanie zrozumieć, że rząd nie może odpowiadać na każdy artykuł, drukowany przecież na odpowiedzialność autora. Dąbrowskiej przypomina to znany szkic Ludwika Kubali o poselstwie Puszkina, które w połowie XVII wieku domagało się w Warszawie konfiskaty poematu Samuela Twardowskiego o Władysławie IV Wazie. Utwór ten miał zawierać treści obelżywe dla Rosji, jej mieszkańców i władców (16 I 1959). Ze zrozumiałych względów ten szkic historyczny Kubali mógł się doczekać reprintu dopiero w 2004 r. Osnuta zaś na nim opowieść Władysława Zambrzyckiego *W oficynie Elerta*, którą zmarły w 1962 r. autor napisał w roku 1958, wyszła dopiero w roku 2007! Świadomy cenzuralnych barier Zambrzycki na dedykowanym Poli Gojawiczyńskiej maszynopisie napisał z rezygnacją, iż „przesyła opowieść pisaną do szuflady”.

Ograniczenia cenzuralne dotknęły również film polski, któremu Dąbrowska poświęciła tak wiele miejsca w swoich dziennikach. Już w 1936 r. notuje w nich: „Zaczynam widzieć o wiele większe możliwości w filmie niż w teatrze” (6 II 1936). Nie należy więc jej wierzyć do końca, gdy dwadzieścia lat później pisze, iż film ma być jednym z dowodów tego, że cywilizacja mechaniczna płodzi rzeczy zbędne zarówno dla szczęścia, „jak i dla wewnętrznego rozwoju człowieka”. „Właściwie uznaję film tylko jako popularyzację wiedzy, sztuki, krajoznawstwa. Realistyczny film fabularny nudzi mnie i nie jest mi do życia potrzebny” (6 I 1956). Wbrew tym stwierdzeniom nie tylko przed wojną, ale i w Polsce Ludowej chętnie chadzała na co wybitniejsze czy głośniejsze filmy, zarówno polskie, jak i obce, zapisując potem w dziennikach na ich temat refleksje godne wytrawnego krytyka filmowego.

Dąbrowska nie ulega przy tym aktualnie panującym opiniom. Nie podoba się jej na przykład tak powszechnie wówczas w „salonach” chwalony Antonioni (*Przygoda*) (2 II 1963), *Krzyżaków* stawia zaś zdecydowanie wyżej od amerykańskiej ekranizacji *Wojny i pokoju*, którą się zachwycają „nasze snoby [...] z tzw. elity intelektualnej, z których nikt nie poszedł na *Krzyżaków*, bo polskie to szmira” (26 III 1962). W porównaniu z dziełem Aleksandra Forda *Wojna i pokój* należy do filmów „taniutkich artystycznie jak barszcz” (6 III 1961). Przy tym Dąbrowska nie zapomina nigdy o obowiązku krytycznego spojrzenia na to, jaki obraz Polaków ukazywano na ekranie. Dlatego *Ostatni etap* w reżyserii Wandy Jakubowskiej uznała za ich szkalowanie, ponieważ w dodatnich rolach występowali tam jedynie cudzoziemcy, negatywnymi postaciami byli zaś wyłącznie Polacy, a ściśle mówiąc Polki. Wiele zastrzeżeń wysunęła także pod adresem *Ulicy granicznej* ze względu na nierzetelne ukazania stosunków polsko-żydowskich w okresie okupacji.

Pisząc o dorobku ojczywej historii i kultury starała się wydobyć wartości naszego dziedzictwa kulturowego. Ubolewa przy tym na przykład z okazji po-

bytu w Zamościu nad zaniedbaniem, w jakie to miasto popada (uzupełnienia dzienników z lat 1917–1935, s. 45). Opiewa dawne uroki Kalisza, z których na szczęście jeszcze sporo pozostało (tamże s. 26). Podziwia muzykę staropolską, przypominaną między innymi w radiu, a nieliczne ocalałe dworki ziemiańskie dają jej sposobność do pochwały „stylu dawnego ducha ziemiańsko-szlacheckiego”. Jest oczywiste, iż wydając w 1937 r. *Rozdroże*, postulujące reformę rolną i tak mocno atakowane (sporo się o tym mówi w dziennikach), miała na myśli tylko parcelację samych gruntów, ale bez likwidacji tego, co później zyskało nazwę resztówek. Z pasją broni tradycji narodowych: pouczając „klasowego matołka” (Jana Nepomucena Millera), czym była naprawdę ustawa *nihil novi*, a mianowicie „pierwszą zasadą demokratycznej praworządności” (7 I 1933). Istotne podglebie kultury polskiej dostrzega Dąbrowska w kulturze ludowej, jej muzyce i pieśniach, dających natchnienie do wspaniałych popisów gry aktorskiej, zwłaszcza Wojciecha Siemiona (24 II 1963). Nie zgadza się wszakże na mówienie jednym tchem o „Mazowszu” i „Śląsku”. Pierwszy z tych zespołów jest kreacją artystyczną, choć obok autentycznego folkloru wprowadził sporo tańców i pieśni nic z nim wspólnego nie mających, „Śląsk” natomiast to „banalna chałtura”. Mira Zimińska, korzystając z tekstów zebranych przez Oskara Kolberga, genialnej instrumentacji Sygietyńskiego i niesłuchanie pomysłowej kostiumologii, „przekształciła ten autentyczny folklor w jedyną może udaną kreację sztuki masowej” (24 II 1963).

W 1950 r. Dąbrowska broni podobieństwa dziejów Polski i Anglii, kwestionowanego przez marksistów („biedny Hochfeldzina i jego mocodawcy”) (5 X 1950). W dziewięć lat później wypowiada się za potrzebą wydania „najpopularniejszej historii Polski w rodzaju dawnych 24 obrazków czy *Wieczorów pod lipą* — Naród nie zna i zapomina swojej historii i łaknie takiej historii”. Także za popularnym wydaniem wyboru ze starych historyków, takich jak Smolka, Kubala czy Szajnocha (1 III 1959). Niewiele lat później między innymi ich utwory trafiły do wydawanej przez PIW serii *Klasyki historiografii*. Z zalem, a jakże trafnie, nazywa w 1962 r. dzień 11 listopada „smutnym, skonfiskowanym świętem” (11 XI 1962).

Z tym wszystkim Dąbrowska daleka była od nacjonalizmu. Świadczy o tym jej reakcja na ze zgorszeniem wysłuchaną (11 XI 1928) audycję Ewy Szelburg Zarembiny o Pietru-żołnierzu, który „fuksem dostał się do nieba”. Przeszkody, jakie mu czyniono, oburzają Matkę Boską („Jak to, polskiego żołnierza chcesz [...] wyrzucić?”), która grozi, iż w takim razie sama też opuści niebo, a z nią wszyscy święci i aniołowie. Jakże ludzie mogą wzywać Boga na usługi jednego narodu — zapytuje autorka dzienników. I wierzyć, iż przychyła się on do jego tylko prośby. „Co wyrośnie z dzieci, karmionych podobnymi bzdurami, taką głupekową parodią naiwnych podań i wierzeń ludowych...”.

Dąbrowska broni też Conrada przed pomówieniem o nacjonalizm. Jego twórczość to bowiem poszukiwanie człowieczeństwa, „niezależnie od warstwy, klasy, szerokości geograficznej i rasy”. A jeśli nawet Conradowska wiara

w możliwość znalezienia takiego człowieczeństwa była „złudzeniem, pułapką, sidłami, pokusą zbyt zuchwałą — niemniej to, a nie nacjonalizm stanowi jego istotę twórczą” (29 XI 1934). Wychodząc z takich właśnie założeń Dąbrowska będzie w początkach Polski Ludowej wieść spór z Janem Kottem, podszyty wyraźnie określonym politycznym podtekstem. Podobnie jej uszczypliwe uwagi o „nadreprezentacji” Żydów wśród czynników decydujących o losach polskiej kultury nie wynikały bynajmniej z antysemityzmu. Ani też z przykrych doświadczeń osobistych, choć ludzie o takim właśnie pochodzeniu dominowali wśród krytyków jej poglądów i twórczości. Atak na autorkę *Nocy i dni* zapoczątkował, i to w wyjątkowo brutalny sposób, Stefan Żółkiewski. Kontynuowali go, obok Kotta, ludzie tego samego pochodzenia, a więc Melania Kierczyńska czy Samuel Sandler. Jeśli jednak parokrotnie (m.in. 9 III 1947 i 4 V 1947) wyróżnia w dziennikach osobę Żanny Kormanowej, to dlatego, że jej działalność publicystyczną i polityczną uważa za szczególnie groźną dla polskiej świadomości historycznej i narodowej. Stąd też wywodzi się ukuty przez Dąbrowską neologizm „skormanowany” (3 I 1948), oznaczający fałszowanie dziejów przez osobę, którą w kołach historyków zwykło się nazywać Konną Żandarmową. Zdaniem Dąbrowskiej, ludziom żydowskiego pochodzenia było przeważnie obce zrozumienie narodowych potrzeb oraz polskiej racji stanu. Działając natomiast w interesie obcego mocarstwa pozostawali najwierniejszymi sługami „rządu nowej Targowicy” — jak dzienniki pani Marii nazywają PKWN, mieniając zarazem Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego — polskim NKWD (31 XII 1944).

Dąbrowska ma tej dwudziestowiecznej Targowicy za złe nie tylko wyprzedzenie pomnikiem bohaterów getta postumentu, który należał się warszawskim powstańcom, ale i umieszczenie w strefie ideologicznego milczenia historii Ziemi Zachodnich i ich polskich dziejów. Władze polityczne miały to czynić, aby nie przypominać analogicznej sytuacji w stosunku do ziem wschodnich. „Żaden argument historyczny nie usprawiedliwia tego, że Rosja panuje nad Królewcem i Lwowem — które nigdy nie należały ani do Rosji, ani do Ukrainy czy Litwy” (17 X 1962). Nie jest to ściśle stwierdzenie, gdyż zwłaszcza zaraz po wojnie, a następnie podczas rządów „drugiego Gomułki” ukazało się wiele publikacji dowodzących „rdzennej i odwiecznej” polskości nawet tych ziem, które jako żywo do Polski nigdy nie należały. Z wówczas wydawanych przewodników po Szczecinie czy Wrocławiu trudno byłoby się dowiedzieć, iż lwia część mieszkańców tych i innych miast na tak zwanych Ziemiach Odzyskanych stanowili Niemcy.

Co ciekawe, za największe zagrożenie dalszego bytu polskiej kultury, obyczaju i stylu życia Dąbrowska najwyraźniej uważała nie marksizm, lecz forsowaną przez Kreml rusyfikację. Narzucany odgórnie socrealizm wręcz sobie lekceważyła. W dziennikach wyraźnie pokpiwa ze sztandarowych pojęć tego gatunku, jak realizm w literaturze i sztuce czy klasowo uwarunkowana idea postępu. Zdaniem pisarki, żadne wielkie arcydzieło literackie nie może być uznane za w pełni realistyczne. Nie należy wszakże tracić nadziei, że takie ar-

cydzieło się w końcu pojawi. Jeśli zaś jakaś postać postępu (poza technicznym) wydaje się realna, „to ta, która uczy współżyć przyzwoicie ludziom i organizacjom o najbardziej sprzecznych poglądach. Tylko w tym jest kultura, cywilizacja, postęp. Jeśli by to było niemożliwe, to doprawdy nie warto żyć”. Uwagę tę kieruje zarówno pod adresem komunistów jak i nietolerancyjnych chrześcijan, albowiem nie cierpi fanatyzmu, „jakiegokolwiek byłby barwy” (12 XI 1951). W 1953 r. na wygłoszonym w Zakopanem odczycie Dąbrowska wyraziła pogląd, że socrealizm „jest to próba stworzenia nowej konwencji literackiej, konwencji były bardzo różne [...] ale nawet w konwencji dworskiej potrafią tworzyć trwałe wartości artystyczne”. Istotne jest jedynie to, „czy w tej konwencji powstaną arcydzieła — Zawsze warto próbować” (22 I 1953). Jak się okazało, nie powstały. Sprawdziła się natomiast w całej rozciągłości nader celna refleksja Dąbrowskiej, pomyślana jako złośliwość, a mianowicie, że „na marksizmie skorzystali wszyscy z wyjątkiem marksistów” (28 IX 1957). Jeśli się natomiast podnosi tę metodę do „roli dogmatu i nienaruszalnej doktryny”, wtedy robi się „zakalec paraliżujący wszelki ludzki bieg życia”. Jak dotąd jednak pisarze katolicycy „doskonale zużytkowują marksizm do swoich celów i filozoficznych i praktycznych” (12 XI 1951). To jednak nie pod wpływem marksizmu, lecz specyficznej sytuacji, stawiającej przed obywatelem problem granic kolaboracji, Dąbrowska w tak odkrywczy sposób spojrzała na ten problem w *Panu Tadeuszu*. Wybielając tych bohaterów poematu, którzy wyciągnęli korzyści materialne z Targowicy, wieszcz pokazał, że i w takiej sytuacji mogą się znaleźć ludzie skądinąd szlachetni czy nawet bohaterscy. „To coś jakby się usprawiedliwiał przystosowanych do okupacji, czy do dzisiejszego reżymu” — pisze Dąbrowska (20 VIII 1961).

Istotnie, właśnie dzięki konieczności prowadzenia sporów ideologicznych podniósł się poziom prasy katolickiej i to do wyżyn, o jakich przed rokiem 1945 nie można było nawet marzyć. Trafnie też Dąbrowska dostrzega w socrealizmie spadkobiercę najgorszych gustów drobnomieszczaństwa. Przy czym stwierdza, iż „nowa rządząca klasa wzoruje się nie na najlepszych lecz na najgorszych gustach klasy pokonanej” (18 III 1963). Nie ma wszakże racji, gdy — zgodnie ze swoim ultrakatastroficznym widzeniem przyszłości — przewiduje, iż Rosja (cóż z tego, że czerwona) może opanować świat. A wówczas nastąpi czas dla literatury i sztuki tragicznej. „Może zostać spalony, zniszczony cały wspólny dorobek XIX i XX wieku”. Mniejsza już o to, że nie będą wydawane powieści autorki dziennika, „ale ilu wielkich artystów przepadnie — ile wielkich dzieł” (25 III 1963). Warto jednak przypomnieć, iż już w zjeździe zjednoczeniowym partii robotniczych ta sama autorka ujrzała (pod wpływem Stempowskiego) nowy sejm grodzieński z 1793 r. (19 XII 1948), a w I Kongresie Nauki Polskiej (1951) pogrzeb, tak jej drogich, polskich tradycji (3 VII 1951). A zarazem jeden z aktów faktycznego, jeśli nie formalnego, włączenia nas do Rosji (a nie do ZSRR!). O wiele trzeźwiejszy pogląd na tę kwestię miał cytowany w dziennikach Jan Kott, który nazwał ten Kongres pogrzebem I klasy, ale

tylko Warszawskiego Towarzystwa Naukowego i Polskiej Akademii Umiejętności (3 VII 1951).

Dzienniki Marii Dąbrowskiej są obrazem obaw, jakie przeżywała intelektualna elita Polski w ubiegłym stuleciu. Nie należy wszakże zapominać, iż pisane były przez kogoś, kto urodzony w XIX stuleciu, aż do 1914 r. podzielał wszelkie złudzenia tego właśnie wieku. Kogoś, kto miał nadzieję, iż wszystko co najgorsze ludzkość ma już za sobą. A przecież była to tylko przeszło stuletnia przerwa, w której już wygaszono stopy inkwizycji, a jeszcze nie rozpalono komór gazowych Oświęcimia. Ernest Renan pisał, iż wiek ten na przestrzeni całych dziejów ludzkości da się porównać tylko z I i II stuleciem naszej ery. Bo i wówczas „zadziwiająco mała ilość wojen i domowych katastrof umożliwia ciągłość pracy w dziedzinie kultury”.

Polacy wiązali z nadchodzącym stuleciem nadzieję na ponowne pojawienie się ich ojczyzny na mapie politycznej Europy.

Tylko to ostatnie się sprawdziło, a mimo to Maria Dąbrowska tyle gorzkich słów zapisała w swoich dziennikach pod adresem II Rzeczypospolitej i jej kultury. Miała w tym zresztą wiele racji: skamandryci przedwcześnie zrzucili z ramion płaszcz Konrada, a jego cela zamieniła się na dziesiątki lagrów i łagrów, do których trafiło tylu znajomych i kuzynów autorki dzienników. Choć wzięliśmy w drugiej wojnie światowej udział po stronie zwycięskiej koalicji, to jednak wyszliśmy z niej ze zmniejszonym terytorium i bez suwerenności. Straciliśmy bezpowrotnie Kresy, tak często przez Dąbrowską wspomniane. Stąd jej ubolewanie „nad naszą do nich nieszczęśliwą miłością, którą podzielam. Jak każda nieszczęśliwa miłość i ta jest upokarzającą katastrofą wewnętrzną” — pisze Dąbrowska. Poza granicami ojczyzny pozostało Wilno z jego wspaniałymi kościołami, które są tak często opisywane i sławione w jej dziennikach. I skąd miał się pojawić optymizm na kartach urodzonej w niewoli i zmarłej w sowieckim protektoracie autorki?

To prawda, iż wypowiadała się w reżimowej prasie z okazji wspomnianego już zjednoczenia partii czy śmierci Józefa Stalina. Ale nie należała przecież do tych autorów, którzy przez okres stalinizmu wygłaszali gorliwe wiernopoddańcze referaty, aby później wydawać obrazoburcze „gusła”, wmawiając naiwnym czytelnikom, iż pisali je jednocześnie z peanami na cześć genialnego językoznawcy. Do dziennika wpisywała myśli, za które przeciętny obywatel powędrowałby na wiele lat do więzienia. Ale któż w PRL odważyłby się przeprowadzać rewizję u Marii Dąbrowskiej; na to zdobyły się jedynie władze sanacyjne, zainteresowane zresztą tylko masońskimi zbiorami Stempowskiego. W tym samym czasie jednak, i to już od 1945 r., Dąbrowska wygłaszała na publicznych zjazdach poglądy dość często zbieżne z dziennikami. Nie była więc, używając terminologii Czesława Miłosza, ketmanem.

Raz jeszcze przypomnieć wypada, iż Dąbrowska swój pobyt w Polsce usprawiedliwiała misją ocalenia narodowej kultury. Początkowo z konieczności czyniła cnotę, po roku 1956 natomiast nikt jej przecież nie mógł przeszkodzić,

aby poszła śladami Czesława Miłosza czy Marka Hłaski. W takim jednak przypadku musielibyśmy nazwać dzienniki utworem zakłamanym. Tymczasem są one dziełem aż do bólu szczerym, w którym autorka poddała bezlitosnej wiwisekcji wzloty i upadki naszej kultury. Dzienniki byłyby bez wątpienia bardziej optymistyczne, gdyby Dąbrowskiej było danym doczekać powtórnego w tym samym stuleciu odzyskania niepodległości.

O wartości źródłowej dzienników stanowi nie tylko fakt, iż ich autorka, niezależnie od czasów, w których żyła, obracała się w kręgach elity intelektualnej, podpatrywała ją w sposób bardzo krytyczny, a chwilami nadmiernie złośliwy. Pod tym względem przypominają poniekąd dzienniki Saint-Simona. Ludwik XIV oraz całe jego otoczenie byłoby zaszokowane lekturą tych setek stron, w tym samym stopniu, co tak zjadliwie opisany przez Marię Dąbrowską „dwór” Bolesława Bieruta oraz jego następcy, Władysława Gomułki. Z wagi świadectwa, jakie dawała epoce, Dąbrowska zdawała sobie sprawę — nazywała swoje zapiski „dokumentem [...] dla czasów oniemiałych” (24 V 1956).

Są one cennym świadectwem tych przemian kulturowych, jakie zachodziły w Polsce ubiegłego stulecia. Wypada się po części zgodzić z cytowanym przez autorkę (29 VII 1962) Sienkiewiczem, iż „przyszłą formą powieści będzie pamiętnik”. Zgodzić po części, bo na pewno nie jedyną, lecz dominującą. Już dziś wyraźnie widać, iż z tak ongiś „modnej” i czytanej twórczości Zeromskiego czy Nałkowskiej, a później Iwaskiewiczza „zębowi czasu” najlepiej opierają się dzienniki, choć były przeważnie pisane bez myśli o czytelnikach (a może właśnie dlatego?). To samo będzie zapewne z Dąbrowską, bo przecież nawet *Noce i dnie* przechodzą miejscami w diariusz rodzinny Szumskich. Po pełny tekst dzienników sięgną z zainteresowaniem nie tylko badacze dziejów literatury czy historycy *sensu stricto*, ale i uczeni zajmujący się myślą społeczną ubiegłego stulecia. Posłużą one w przyszłości do napisania dziejów kultury polskiej XX stulecia.

## CULTURE UNDER CONSTANT THREAT

### Summary

In her diaries Maria Dąbrowska expresses concerns about the future of European and Polish culture after 1945. According to the author, Polish culture is threatened with russification which being conducted with “devilish force and cunning”. Dąbrowska exaggerated the susceptibility of Poles to such danger. She believed that the Catholic Church could not provide an effective barrier against it, nor could the publications appearing abroad — of which Dąbrowska was critical. Which is why an intellectual can only serve his nation effectively if he remains in Poland. Thus, a large part of the diaries was devoted to the defence of Polishness.

### Key words/słowa kluczowe

Maria Dąbrowska; diaries / dzienniki; polskość / Polishness